

Piektło wyboru



ANDRZEJ C. LESZCZYŃSKI

Odnoszę czasami wrażenie, że zbyt pochopnie traktuję się możliwość dokonania wyboru jako świadectwo wolności; zbyt łatwo też chyba i sama wolność uchodzi za dobro naczelne i bezdyskusyjne. Kiedy proponuje mi się kilkadziesiąt gatunków piwa, z nostalgą myślę o czasach, gdy było ich kilka. Wielka ilość programów telewizyjnych uniemożliwia skupienie uwagi na jednym z nich, jest nawet, zdaje się, jakaś specjalistyczna nazwa dotycząca obsesji ciągłego przelatywania pilotem po poszczególnych programach. Są ludzie, którzy z czułością przytaczają znany slogan producenta samochodów: możesz wybrać nasz pojazd w dowolnym kolorze, pod warunkiem, że będzie to kolor czarny. Przypuszczam, że są to ludzie skazani na ustawiczne towarzyszenie komuś, kto decyduje podczas zakupu samochodu bądź części garderoby podejmując nie wcześniej, niż po upływie dwóch godzin. Wystarczy przypomnieć sobie minę kelnera, który czeka na efekt deliberacji dotyczących wyboru dania z bogatego menu, by wiedzieć, co mam na myśli. W tym co piszę nie ma przekory, nie ma jej w każdym razie zbyt wiele. Nie potrzeba uczonych wywodów do wykazania, że nadmiar bodźców osłabia zdolności percepcyjne i że przestrzeń możliwości, jeśli jest zbyt rozległa, czyni wybór udręką a wybierającego – zagubioną ofiarą.

Udręka wyboru to wahanie się. Wahamy się, pisał Paul-Henri D'Holbach, „gdy nie znamy w dostatecznym stopniu cech przedmiotów, które nas poruszają, lub gdy doświadczenie nie nauczyło nas jeszcze dostatecznie o bardziej lub mniej odległych skutkach, jakie wywrą na nas nasze działania.

Chcę wyjść z domu, aby zacerpnąć świeżego powietrza; pogoda jest jednak niepewna; waham się więc, ważę w myśli różne bodźce, które popychają na przemian moją wolę to do wyjścia, to do pozostania w domu; determinuje mnie w końcu bodziec lepiej uzasadniony, który kładzie kres mojej niepewności”. Gdyby przyjąć, że wszyscy ludzie są istotami myślącymi, trzeba by uznać, że każdemu z nich zdarza się wahać. Niekiedy są to wa-

hania tak dramatyczne, że opisuje je literatura. Wahał się w sprawie istnienia bądź nicistnienia książę duński Hamlet i trwałoby to nie wiadomo, jak długo, gdyby nie zewnętrzna interwencja zatrutej szpady, która położyła kres tej udręce. Wspomniałem przed chwilą o istotach myślących dlatego, że wahanie się bywa uznawane za przekleństwo rozumu. Pułapka intelektualizmu na tym właśnie polega, że dla każdej racji można znaleźć również dobrą uzasadnioną rację przeciwną. Być? Nie być? Można to w nieskończoność roztrząsać. Osiołek ze znanej bajki Jeana Buridana (- Owies? - Siano?) dobrze ilustruje owo odrętwienie, jakie jest udziałem istoty skłonnej do nadmiernego rozważania „za” i „przeciw”. Myśl (*logos*) paraliżuje czyn (*ergon*) i prowadzi do impotencji; nawet piciowa impotencja bierze się z nadczynności kory mózgowej i trudno byłoby wyobrazić sobie dotkniętego podobną niemocą orangutana. Z harcerstwa zapamiętałem radę zastępowego: jeśli zabłądzisz w lesie, nie zastanawiaj się zanadto, który kierunek wybrać, weź jakikolwiek i idź!

Czuję że mógłbym teraz coraz to nowe przykłady przytaczać, coraz to bardziej je komplikować poznawczo. Przychodzi mi do głowy zagadnienie wyboru szczególnie okrutnego, czyli tragicznego, kiedy dwie pozytywne wartości stają przeciwko sobie i wybierając jedna z nich traci się drugą bezpowrotnie. Od razu też pojawia się myśl o dylemacie Sørensa Kierkegaarda: „Zawierz dziewczynie, będziesz tego żałował; nie wierz dziewczynie, będziesz tego żałował; wierz czy nie wierz dziewczynie, będziesz i tego, i tego żałował; czy uwierzysz, czy nie uwierzysz dziewczynie, będziesz tego żałował. Powiesz się, będziesz tego żałował; nie wieszaj się...”. No nie, tu Kierkegaard chyba przesadził, jak się powieszę, nie będę żałował. Tu jest na kropkę miejsce, nie na średnik. Nie wiedzieć skąd przybłąkała się melodia starej ukraińskiej dumki, w której dziewczyna nie może się zdecydować ani na piekarza, ani na kowala i prosi o pomoc czerwoną jarzębinę: „jarzębino pomóż, podoba mi się dwóch”.

Nie opuszcza mnie obraz Stefana Chwina, kiedy żali się w „Tygodniku Powszechnym”, jak to nie wiedział – zapalić po śmierci Papieża świeczkę w oknie na szczycie wieżowca, czy nie zapalić; wypomną mu sąsiedzi, że nie zapalił, ale i zapalenie mogą wypomnieć. Chciała pomóc mu Małgorzata Czermińska wskazując, że na ogół ludzie zapalali świeczki bez podobnych kalkulacji, robili to z naturalnego żalu po kimś, kogo kochali, żadna to jednak wskazówka dla mędrca, robić coś po prostu. – Ja jestem prosty człowiek... – zaczął swą wypowiedź uczestnik spotkania z Andrzejem Szczypiorskim; pisarz przerwał ją natychmiast słowami: - To proszę się skomplikować! Tak, wiele wskazuje na to, że przyszedł czas by przestać robić z garbu cnotę i by przyznać, że myślenie – może nawet wszelka świadomość – jest katorgą i że musi nią być, bo jest owocem grzechu pierworodnego, grzechu poznania. Jest katorgą, a piektło wyborów jest najczarniejszą jej postacią. Dla określenia piekła piekiel, czyli wyborów politycznych, brakuje mi po prostu słów.

W piekle można się znaleźć w najmniej oczekiwanym momencie. Marian P. opowiadał mi o swej wizycie u siostry we Włocławku: – Kiedy wyszedłem od niej, nagle dał mi o sobie znać żołądek. Pomyślałem, że sprawię mu ulgę w toalecie dworcowej, bo przecież i tak szedłem w tamtym kierunku. Przyszła mi natychmiast do głowy myśl, że mieszkanie siostry jest znacznie bliżej, więc powinienem do niej się wrócić. Zaraz jednak przypomniałem sobie, że siostra wybierała się na zakupy, zatem pozostał dworzec. Po paru krokach uświadomiłem sobie, że przecież dworcowe toalety są w remoncie, co sam widziałem kilka godzin wcześniej. – Marian – przerwałem mu – zlituj się, jak to się skończyło, zesłałeś się na tej ulicy, czy nie? – Nie – wyjaśnił spokojnie. – Nie zesłałem się. Wróciłem do siostry, bo przypomniałem sobie, że wszystko robi bardzo powoli i jak mówi, że zaraz gdzieś wyjdzie, to wyjdzie za godzinę.

YANNICK LEIDER

BARDZO DZIWNĄ KSIĄŻKĄ (fragment)

Pewnego dnia Genevieve była już o głowę wyższa od ukochanej mamusi. Miała czternaście lat, była bardzo wysportowaną jednostką i kiedy Louise-Adele chciała zastosować, zamiast kolacji, ulubioną karę cielesną, Genevieve przytrzymała opadającą na nią rękę i powiedziała: - Dość! To wystarczy. Jeśli mnie jeszcze raz tkniesz, to gorzko pożałujesz...

Możnaby rzec, że w tym właśnie momencie zakończyła się dla Genevieve-Henriette edukacja rodzinna. W tym czasie dziadek Dominique stroił skrzypce, lub być może pykał z fajeczki, stojąc w oknie od strony wieży Eiffla. Bądź, co także mogło wchodzić w grę, jedno i drugie. Dbając, by popiół z fajeczki nie dostał się do pudła skrzypiec. Tym samym, należy przypuszczać, że scena rodzinna przy stole ušla jego uwadze w znacznym stopniu.

Od tej pory Genevieve pozostało kilka lat do matury, a potem upragniona szkoła wyższa w Melun – Ecole Normale Supérieure – w której wykładali najlepsi teoretycy współczesnej pedagogiki Frenet i Piaget. Nowoczesna szkoła. Nowa planeta.

Dziadek Dominique był coraz bardziej chory. Podłe warunki życia w klasztorze w Gujanie, oraz pobyt w Afryce, dawały o sobie znać. W końcu, już podczas wojny, zmarł na raka żołądka. Pozostały skrzypce i fajka, oraz klecznik, który ofiarowałem Catherine Becourt. Nie posłużył jej wszakże... także zmarła.

Catherine była żoną faceta, którego tata Arnold podstępnie wyprowadził z obozu koncentracyjnego Buchenwald w 1944 roku. A było to tak... Roger Becourt miał 16 lat. Znalazł się w niewłaściwym miejscu po godzinie policyjnej i trafił do obozu. Tata Arnold, który był członkiem podziemnej armii w Buchenwaldzie, otrzymał zadanie nawiązania kontaktu z żoźnicą, wywożącym na znajdujący się poza obozem śmietnik obierki z obozowej kuchni. Jednocześnie nawiązano kontakt z mieszkającymi kilka kilometrów dalej rolnikami, którzy zgodzili się przebrać chłopca w cywilne ubranie, nakarmić i zawieść do kuchni, mieszczących w innej wsi. Roger miał początki gruźlicy i jego los nie był pewien. Zresztą do końca życia chorował na płucą. Tata Arnold ponownie spotkał go w 1946 roku w Paryżu. Jakiś czas podkochiwał się w jego siostrze...

Spotkanie taty Arnolda z Rogerem po wojnie, miało także wymiar zawodowy, bowiem ojciec Rogera był właścicielem Laboratoires Eclair, produkujących kamery dla kina, telewizji, a z czasem kamery termowizyjne. Kamery współpracowały z urządzeniami do nagrywania dźwięku i emisji, a specjalność zawodowa taty Arnolda to TSF, czyli radiofonia. W tym czasie Roger B. kończył studia, na politechnice, aby w przyszłości przejąć zakłady ojca. Kiedy to nastąpiło, zaczęły się bardzo poważne zamówienia rządowe. W bardzo krótkim czasie z mieszkania w Asnières przeniósł się on do porządnego domu w Argenteuil, dokąd mógł już sprowadzić żonę Catherine, a wkrótce potem córkę.

Pieniądze zmieniają ludzi. Roger B. zaczął wyposażać swoją willę w bardzo dziwne przedmioty z katalogu kiczu straszliwego. Ale też potwornie drogie. No i przede wszystkim kupił bardzo kosztowne auto. Najpierw dwulitrowego panharda, zaś potem jaguara. W końcu dyrektor wielkiej firmy musi czymś jeździć.

Po ukończeniu uczelni w Melun, Mama Genevieve otrzymała skierowanie na staż pracy do sierocińca w La Villette-Aux-Aulnes, w okręgu paryskim. Była uroczą brunetką o długich włosach, roześmianą, pełną życia, o pięknej twarzy, brązowych oczach, zgrabną, lubiącą tańce, śpiewy i teatr. Faceci się za nią oglądali, ale tylko doktor Feller miał miejsce w jej serduszkach. Kilka tygodni po jej przybyciu do La Villette, pojawił się młody mężczyzna o uwodzicielskim spojrzeniu, który wstrząsnął młodą damą do głębi. Był to znany lowelas, przysły tata Arnold. Szczupły, uwielbiający dzieci i mający z nimi znakomity kontakt do tego stopnia, że jego podopieczni, zwracali się do Taty Arnolda przezwiskiem *mon pote*, co znaczy – mój kumpel.

2014-04-03

Już minął szal wyborów samorządowych. Grenoble opanowane przez zielonych. Wspomnienie z okresu przedwyborczego, dwa dni przed drugą turą. Telefon, głos kobiecy w słuchawce. Pytanie: - Pan będzie brał udział w wyborach? Myślę sobie, co cię to kobiecie obchodzi? Ale grzecznie odpowiadam: - Owszem, mam taki zamiar... - A czy można wiedzieć, na kogo pan przypuszczalnie odda głos? Ja na to: - W tej chwili wychodzę na naradę w tej sprawie. Mam pod lasem spotkanie z krasnoludkami. One się z pewnością orientują na kogo warto oddać głos, a na kogo nie...

2007

Lato. Leżę w Akademii Medycznej w Gdańsku. Przykra sprawa – zapalenie dróg moczowych. Przypuszczalnie ma to związek z leczeniem raka radioterapią. Jest nas trzech w sypialni. Jeden, amator łowienia ryb w przerebli, wpadł pod łód, przy minus dwudziestu szczęście stopniach. Co jakiś czas wraca tu na leczenie. Drugi przypadek – człowiek, który choruje codziennie na inną chorobę. W końcu nam go wymieniają na młodego pszczelarza, który potrafi przez 24 godziny usypiać nas wykładami na temat jego profesji. Rybak pochodzi ze Sztumu. Dwa razy w tygodniu delegacja rodzinna przywozi mu zestaw obiadowy, którym obdziela i nas, gdyż rodzina mu nie żałuje. Pszczelarz jest dokamiany przez młodą żonę. Ja z kolei mam za leczenie, aby dużo pić, toteż „moj”, tzn. obie Hanie, przynoszą mi soki.

Okazuje się, że na wydziale nefrologii, mówi się specjalnym slangiem. Notuję słowa i wyrażenia. Po dwóch dniach wypełnionych cewnikami, różnymi zabiegami i badaniami, moja jednoaktówka jest gotowa. Poprosiłem siostrę salową o przepisanie tekstu na komputerze. Następnie o wydrukowanie w kilku egzemplarzach.